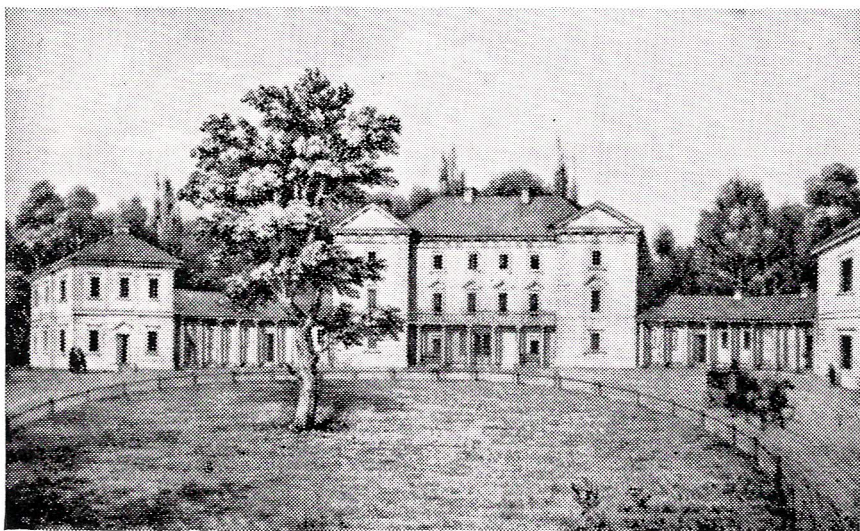


ZDZISŁAW GROCHOLSKI

**© STARYM STRZELCU
TOMASZEWSKIM**



PIETNICZANY

**W I A D O M O Ś C I
BOŻE NARODZENIE 1960.**

NA PODOLU, w Pietniczanach, położonych nad Bohem, tuż koło powiatowego miasta Winnicy, łowiectwo było utrzymywane przez szereg następujących po sobie pokoleń właścicieli tej polskiej siedziby kresowej.

W przylegającej do zamkowego obęjsia obszernej, otoczonej murami psiami, chowały się psy gończe i charty, nad którymi w pierwszych latach XX w. bezpośredni nadzór sprawował jeszcze stary Hryćko, dojeżdżacz, przeznaczony od swych najmłodszych lat do służby w łowiectwie. Wyrostkiem będąc, rannego odyńca, szarżującego na dziedzica, wziął na rohатыnę i zatrzymał, umożliwiając ponowne nabicie pistonowej wówczas broni, za co jednego rubla srebrem gratyfikacji rocznej pobierał do końca życia. Na koniu, z torbą borsuczą przez ramię i sformami uczeplonymi do siodła, zawsze bez czapki, którą by mu i tak pierwsza gaiaż z głowy strąciła, stanowił nieodłączną całość z gończymi gnającymi przez największy gąszcz za tropem — do tego stopnia że gdy Hryćko fajkę zgubił i z konia zląził by jej szukać, psy kładły się wkoło niego, gon ustawał i jego wznowienia myśliwi musieli czekać do chwili odnalezienia Hryćkowej fajki.

Na wiązaniach dachowych szopy dla psów w psiami wisiały sieci łowieckie do obrzucania nimi ostępu, by opolować go następne z gończymi. Sieci tych było swego czasu dziesięć wozów i znaczniejsze przestrzenie być mogły nimi zamykane; ale ten rodzaj polowania jako wymagający zbyt wielu ludzi do strażowania wzdłuż sieci (co 50 kroków — człowiek) już dawno był zaniechany.

Zwierzynę leśną stanowiły sarny, zające, lisy, wilki i dziki, na ciągach wiosennych i jesienią w ługach — słonki. Na polach, osobiwie w bardziej już stepowym sąsiednim bractawskim powiecie — drobie i bardzo wiele przepiórek. Na stawach — dzi-

kie gęsi, kaczki, a po licznych błotach, t.zw. „rudach” — wszystkie gatunki błotnego ptactwa.

Mniej więcej o kilometr od zamku był w pietniczańskim Czarnym Lesie 40-morgowy zwierzyniec, otoczony dwumetrowej wysokości parkanem ze słupów i bali dębowych. Tam chowały się danielę, a dawniej były i jelenie, lecz te zniesiono gdy nabyty od wędrownego cyrku byk zabił dwu dozorców: mieszkającego wewnątrz zwierzynca, Szeląga i przy jego wjazdowej bramie, Sawina. Czaszka byka o rozłożystym wieńcu z dziurą od kuli w czołowej kości wisiała w zamkowej myśliwskiej sieni. Ostatnimi laty pomyślnie — chociaż w niewoli — mnożyły się sprowadzone ze Sławuty do zwierzynca dziki.

W zamkowej zbrojowni liczne były myśliwskie bronie, od prześlicznie wykonanej w Paryżu skałkówki pana wojewody (1727-1807) i następnych, również z góry nabijanych pistonówek, do wielu różnych sztuk najnowszych systemów i śrutowych strzelb i sztucerów włącznie.

Ciekawym, żywym uosobieniem dawnych łowieckich wspomnień i tradycji był stary strzelec Tomaszewski.

Życie leśne, zwyczaję zwierzyny nie miały dla Tomaszewskiego tajemnic. Z przyrodą przestawał chętniej aniżeli z ludźmi a do swych z ludźmi stosunków wnosił formy, sposoby, poglądy i twierdzenia własne, którym oponować byłoby najzupełniej bezcelowe.

Nikt lepiej nie tropił dzików i przechodnych wilków, albo na wabia późną jesienią nie określał ilości wilków gniazdowych, by na obrzucenie następnie sieciami pod jego kierownictwem organizować niechybną myśliwską wyprawę.

Gdy po zakończeniu jednej z takich wypraw już o zmroku całe myślistwo zebrało się przy ognisku i zaśluzonym posiłku, a zabite wilki ułożono rzędem opodal, dokąd światło ogniska

nie sięgało, — dziesięć sztuk widniało na rozkładzie, — zliczywszy je, jeden z myśliwych zwrócił się do Tomaszewskiego:

— Powinszować nie tylko zapowiedzianych dziewięć, ale nawet dziesięć wilków zebraliśmy dzisiaj!

Obruszył się starszek:

— Nie może to być!... Wilków tylko dziewięć było obrzuconych sieciami.

— To niech Tomaszewski sam policzy.

Liczył tedy dwukrotnie: za prawa na lewo i — dla pewności — z lewa na prawo, i zawsze dziesięć mu wypadło.

— To być nie może, — twierdził, — wabiło mi się tylko dziewięć: basior, wadera i siedem młodych... Skądże by mógł się wziąć dziesiąty?

I dopiero gdy rozkład oświetlono gałęzią z ogniska, okazało się że dziesiątą sztuką był kozioł, w mroku wzięty za wilka.

W przeświadczeniu o nieomyślności swego wabienia nawet dwukrotnym rachowaniem własnym Tomaszewski nie dał się zachwiać.

W czasie polowań na wilki, myśliwy zdobywający swojego pierwszego wilka, musiał być „farbowany”: coś w rodzaju pasowania na wyższej już klasy myśliwego. Dokonywanie tego tradycyjnego obrzędu przysługiwało prowadzącemu polowania, a więc — Tomaszewskiemu.

Nazbyt bezwzględnie zwykły był on wywiązywać się z tego zaszczytnego obowiązku: zachodząc z tyłu siedzącego delinkwenta, zasmarowywał mu całą twarz obiema rękami ubroczonymi w posoce wilczej.

Zdarzyło się iż pierwszego swego wilka zabił goszczący w Pietnicznach pan Michał Wysocki, niezmiernie dbający o swój wygląd. Tomaszewski uproszony o względy dla gościa, zobowiązał się dokonać jego „farbowania” z wyjątkową delikatnością.

W posoce wilczej umoczył jeden tylko palec wskazujący swej prawej ręki i z tyłu zaszedłszy siedzącego pana Wysockiego, nastawił go przy jego głowie, a gdy się następnie odezwał i na głos jego pan Wysocki głowę odwrócił, cały ufarbowany palec Tomaszewskiego w usta mu się wraził...

Czy i w jakim stopniu docenił pan Wysocki delikatne intencje takiego

mianowicie „farbowania”, pietniczańskie annały myśliwskie nie podawały.

Na polowaniach pijano chętnie sok brzozowy — napój orzeźwiający i tak dalece „wyskokowy”, że przy nieumiejętnym otwieraniu zadrotwanej butelki nieraz cała jej zawartość wyskakiwała. Tomaszewski stosował w tych okolicznościach wypraktykowany system własny: po otwarciu za pomocą korkociąga butelki od razu własnym palcem ją zatykał i już tylko z pod swego palca napełniał poddawiane szklanice.

W zakresie wielorakich praktycznych zainteresowań swoich Tomaszewski badał smak mięsa wszelkich stworzeń, do najmniej o ile chodzi o jadalność pojętnych włącznie. Zapytany kiedyś jak smakuje sowa, odrzekł krótko:

— Lepiej od nietoperza.

Nie lubił przechodzić przez mosty; wolał najdalszą okrężną drogę, byle mostu uniknąć, a twierdził że nawet i rzekę obejść można. Powracając z myśliwymi do zamku z pieszych wypraw na kszycy do rud położonych po drugiej stronie Bohu, nieodmienne oświadczał:

— To niech panowie idą przez most, a ja obejdę.

Gdy powracającego późno pytano czy mu się obejście Bohu powiodło niechętnie machał ręką, mówiąc:

— Tym razem jeszcze nie, ale za następnym się uda.

I o bezcelowości podobnych prób nigdy nie dał się przekonać.

Z wyglądu prosty chłop, odziewający się zawsze szaro i bezbarwnie, ażeby wśród przyrody nie stanowić żadnej, rzucającej się w oczy, plamy, a przesuwając się, czy też w miejscu tkwić niepostrzeżenie, był Tomaszewski szlachcicem zagrodowym i to swoje szlachectwo, poparte pięknymi starymi dokumentami, wysoko sobie cenił. Pospolಿತowania się z chłopami unikał. Natomiast w przyznawaniu szlachectwa innym, jemu podobnym, ze szlachty zagrodowej nie był łatwy, osobiście gdy wchodziła w grę osobista antypatia. Tak o herbie nie lubianego przezeń dozorca zwierzynca, Szeląga, również szlachcica zagrodowego, odzywał się lekceważąco:

— Jaki tam herb!... Jeżeli go ma w ogóle, to chyba wesz przebita szczerzina jest u niego na tarczy.

Wśród wielu różnorodnych, istotnie nieraz niezwykłych przygód To-

maszewskiego w jego długim myśliwskim życiu, do najciekawszych niewątpliwie należą te, w których, jak twierdził, acz zawsze niechętnie się do tego przyznawał, miał do czynienia z diabłem. O jednej z takich przygód sam kiedyś mówił:

— Szedł ja po lesie zimową porą, noc była ciemna, choć w pysk daj, ale ja i po ciemku wszystkie ścieżki znałem. Wtem tuż koło mnie w krzakach zakotłowało, i ja w to miejsce strzelił. Nabawiwszy strzelbę, idę na strzał i skrzesawszy ognia, widzę: leży stara diablica, tak loftkami zestrzelana że już tylko dobić ją było trzeba. Przy niej małe diablatko. Łalkiem nagie i zdrowe, do nieżywej matki się tuli. Wziął ja to diablatko, w kożuch zawinął, przyniósł do domu i chował. Ładny chłopczyk z niego wyrósł. Czytać i pisać ja go nauczyłem to on potem i do mszy św. służył.

Drugie, również z diabłem zdarzenie, w książkach myśliwskich pietniczańskich, prowadzonych od r. 1851, zostało opisane pod nagłówkiem: „Nie człowiek jestem, jak nie diabła zabiłem”. Opis ten z pamięci poniżej przytoczony.

Leżeliśmy przy ognisku nad stawem Ławrowieckim, by czuć świt, na łódkach w oczerety za kaczkami popłynąć. Po długich naleganiach stary strzelec Tomaszewski dał się wreszcie uprosić i tak opowiadał:

— Dawno, już bardzo dawno temu, jeszcze ja wtedy małym chłopcem był, a już — strach — miałem ochotę do strzelby. Ojciec — świeć Panie nad jego duszą — nie pozwalał, ale ochota gorzej niewoli i jak tylko mogłem, za strzelbę i nad Boh na kaczki.

„Siedzę tak jednego dnia w skałach nad Bohem. Pogoda cudna. Słońce świeci. Ale potem wiatr się zerwał, chmur napędził. Niebo się zachmurzyło, i deszcz zaczął padać.

„Schował się ja pod skałę i czekam. A tu deszcz coraz większy. Rozpętała się burza. Byskawice coraz to niebo oświecają, a pioruny — niech Matka Boska broni — jeden po drugim, a wszystkie w jedno miejsce, hrym ta hrym.

„Patrę, a tam, naprzeciw mnie niedaleko, wyskakuje spod skały jakieś dziwne czarne zwierzątko... kuna, nie kuna... tchórz, nie tchórz... Ja przecież już wtedy znałem. Wyskakuje i bawi się i przewraca... A co się pokaże, to piorun w to miejsce — hrym! I ono znowu się chowa.

„A nu ja spróbuję — pomyślał ja sobie — opatrzyl strzelbę — nie zamokła. Nastawił w to miejsce, a kiedy znów się cno pokazało — bęc!

„Dym wszystko zaslonił... Ale po moim strzale zaraz pioruny ustały, i deszcz przestał padać, chmury się rozstąpiły i słońce zaświeciło... a ja — na to miejsce.

„I cóż panowie powiecie?!...

„Tam kupka czegoś czarnego, paskudnego, a siarką słycać, aż pfe!

„Zebrał ja to w papier do torby, ojca zapytać. A ojciec, świeć Panie nad jego duszą, był taki co wszystko wiedział. Wziął on to paskudztwo, obejrzał, powąchał, pokoszował i — „Synu — powiada — oto — powiada — masz łaskę u Pana Boga, boś ty diabła zabił”. Ale ja tego opowiadać nie lubię... Bo to śmieją się ludzie, nie dają wiary... a nie człowiek jestem jak nieprawda co mówię i nic nie przykładam.

Tak w książkach myśliwskich stało i bez wszelkiego również „przykładania”.

Dziś łowiectwa pietniczańskie już nie ma. Utrzymywane, rozwijane, unowocześniane, w r. 1918 przestało istnieć.

Zmiotła je zawierucha dziejowa, jak zniosła i wszystkie odwieczne polskie na kresach siedziby z całym wiekowiekowym na tamecznych ziemiach dorobkiem kultury polskiej.

Przed laty już wielu zakończył też myśliwskie życie swoje i stary strzelec Tomaszewski. Ze zaś na ziemi tak pomyślnie z diabłem sobie poczynał, nie należy wątpić iż do myśliwych patrona, św. Huberta, na służbę przeszedłszy, z odpowiedniej w niebie korzysta promocji.

Requiescat in Pace.

Stowarzyszenie Kottalcówi wsiadawcy

Printed by SUPERIOR PRINTERS (T.U.), 11-13 New Road, E.1.

z Pioserna - Antos

do Sca Bemweie 1X/1964.